

HARLAN COBEN

Mów mi Win

Thriller

Ekscentryczny
przyjaciel Myrona
Bolitara nareszcie
w roli głównej!

ALBATROS

Tytuł oryginału:
WIN

Copyright © Harlan Coben 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2021

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: © Trevor Payne/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Piłka, która zdecyduje, kto wygra mistrzostwa, powoli szybuje łukiem w stronę kosza.

Mam to gdzieś.

Wszyscy inni na stadionie Lucas Oil w Indianapolis wpatrują się w nią z otwartymi ustami.

Ja nie.

Patrzę na drugą stronę boiska. Na niego.

Zajmuję oczywiście miejsce w pierwszym rzędzie, niedaleko linii środkowej. Po mojej lewej stronie siedzi sławny aktor, Niepokonany Superbohater, w czarnym obcisłym T-shircie, eksponującym bicepsy, jak to on, a po prawej, reklamując okulary przeciwsłoneczne własnej marki, sławny raper Swagg Daddy, od którego trzy lata temu odkupiłem prywatny odrzutowiec. Lubię Sheldona (bo tak naprawdę ma na imię Swagg Daddy) – jego muzykę też – ale to, jak się zachowuje, przekracza granice służalstwa i budzi we mnie pewien niesmak.

Jeśli chodzi o mnie, mam na sobie szyty na miarę granatowy garnitur w prążki z Savile Row, bordowe bedfordy zrobione przez Basila, najlepszego mistrza szewskiego u Cleverleya, różowo-zielony jedwabny krawat z limitowanej

kolekcji Lilly Pulitzer i specjalnie dla mnie zaprojektowaną poszetkę Hermès, która wystaje z lewej kieszeni na piersi dokładnie tyle, ile trzeba.

Jestem dobrze ubrany.

I bogaty, jeśli ktoś jeszcze nie zrozumiał aluzji.

Lecąca w powietrzu piłka przesądzi wynik tego fenomenu w dziedzinie koszykówki, jakim jest turniej March Madness. To dziwne, jeśli się zastanowić. Cały ten wysiłek – krew, pot i łzy, obmyślanie strategii, przewidywanie taktyki przeciwnika i szkolenie, wszystkie te niezliczone godziny samotnego rzucania piłką do kosza na podjeździe, ćwiczenia dryblingu i zwodów, podnoszenia ciężarów, biegów krótkodystansowych na czas, aż człowiek składa się wpół, wszystkie te lata spędzone w śmierdzących salach na kolejnych etapach, w rozgrywkach młodzieżowych i szkolnych, turniejach ligi juniorów i akademickiej, no wiecie – wszystko to sprowadza się ostatecznie do podstawowych praw fizyki, które rządzą pomarańczową piłką, właśnie lecącą po krzywej w stronę metalowej obręczy.

Albo do niej nie wpadnie i wygra Uniwersytet Duke’a, albo trafi i South State oraz ich kibice z radości rozniosą trybuny. Do South State chodził Niepokonany Superbohater, a Swagg Daddy, tak jak wasz uniżony sługa, do Duke’a. Obaj są napięci do granic możliwości. Hałaśliwy tłum cichnie. Czas zwalnia bieg.

Mnie jednak, mimo że chodzi o moją Alma Mater, zupełnie to nie bierze. Nie jestem typem kibica ani fana, nigdy nie byłem. Jest mi obojętne, kto wygra w rywalizacji, w której sam nie biorę udziału – ja ani nikt mi bliski – i zastanawiam się często, dlaczego innym nie jest.

Skupiam uwagę tylko na nim.

To Teddy Lyons, jeden ze zbyt licznych asystentów trenera na ławce South State. Ma ponad dwa metry wzrostu i posturę wiejskiego osiłka, takiego „co to nie on”. Big T. – lubi, żeby tak go nazywać – skończył trzydzieści trzy lata i to już czwarty college, w którym pracuje jako trener. Z tego, co wiem, jest dobrym taktykiem, ale najlepiej idzie mu wyszukiwanie talentów.

Rozlega się sygnał zegara. Czas się kończy, a wynik meczu jest wciąż wielką niewiadomą.

Na stadionie panuje taka cisza, że słyszę, jak piłka uderza w obręcz kosza.

Swagg łapie mnie za udo i ściska je. Niepokonany Superbohater niemal wali mnie w pierś wydatnym tricepsem, rozkładając ręce w niecierpliwym geście oczekiwania. Piłka odbija się od obręczy raz, drugi i wreszcie trzeci, jakby ta materia nieożywiona drażniła się z tłumem, zanim zdecyduje, kto wyjdzie z tarczą, a kto na tarczy.

Ja jednak wciąż obserwuję Big T.

Kiedy piłka po trzecim odbiciu ląduje na boisku – brak punktu – sektor zajmowany przez kibiców Blue Devil eksploduje. Ze swojego miejsca widzę, jak wszyscy na ławce South State wypuszczają powietrze z płuc. Nie przepadam za słowem „zdruzgotany” – jakoś dziwnie brzmi – ale w tym przypadku oddaje stan rzeczy. Wypuszczają powietrze z płuc i są zdruzgotani. Gdy dociera do nich, co się stało, kilku się załamuje i nawet zaczyna płakać.

Ale nie Big T.

Niepokonany Superbohater zakrywa twarz dłońmi. Swagg Daddy bierze mnie w objęcia i ściska.

– Daliśmy czadu, Win! – krzyczy. A po chwili zastanowienia się poprawia: – To znaczy wygraliśmy, Win!

Patrzę na niego spod ściągniętych brwi. To ma znaczyć, że spodziewam się po nim czegoś więcej.

– No, masz rację – mówi.

Ledwie go słyszę w tym ogłuszającym zgiełku. Pochyla się ku mnie.

– Idziemy świętować, to dopiero będzie impreza!

Odchodzi pospiesznie i przylączy się do rozradowanej części tłumu. Kibice zwycięskiej drużyny, rozentuzjasmowani, wiwatujący, wychodzą na boisko. Pociągają go za sobą, tak że znika mi z oczu. Kilku z nich, przechodząc obok, klepie mnie po plecach. Proponują, żebym poszedł z nimi, ale nie chcę.

Szukam wzrokiem Teddy’ego Lyonsa. Już go nie ma.

Niedługo się pojawi.

• • •

Dwie godziny później znowu go widzę. Teddy Lyons kroczy w moją stronę.

Mam dylemat.

Wyrządę Big T. krzywdę, jak to się mówi. Nie mam wyjścia. Nie wiem jeszcze, jak wielką, ale na pewno go zaboli.

Nie na tym polega mój dylemat.

Nie, nie boję się, że za to odpowiem. Wszystko zostało dobrze zaplanowane. Big T. dostał zaproszenie na wyżerkę u Swagga Daddy’ego. Sądzi, że wchodzi wejściem dla VIP-ów. Wcale nie. Przyjęcie odbywa się zupełnie gdzie indziej. Z głębi korytarza dobiega głośna muzyka, ale to ma go tylko zmylić.

W tym magazynie nie ma nikogo oprócz nas dwóch.

Wkładam rękawiczki. Wziąłem ze sobą broń – jak zawsze

– ale nie będzie mi potrzebna.

Big T. jest coraz bliżej, więc wracam do mojego dylematu.

Mam zaatakować go bez ostrzeżenia czy dać mu szansę?

Nie chodzi o żadne zasady, fair play ani nic w tym rodzaju. Nie interesuje mnie, jak nazwałaby to większość ludzi. Bywałem już w rozmaitych sytuacjach. Kiedy zaczyna się walka, wszelkie zasady stają się bezużyteczne. Gryź, kop, syp w oczy piaskiem, użyj broni, wszystko jedno. Prawdziwa walka to walka o życie. Nie ma w niej nagrody za sportową postawę. Jest tylko zwycięzca. I przegrany. Koniec. Nieważne – oszukujesz czy nie.

Krótko mówiąc, mógłbym bez skrupułów zaatakować tę odrażającą kreaturę znienacka. Cios poniżej pasa, żeby znowu użyć popularnego określenia. A dlaczego nie? Taki właściwie miałem zamiar: dopaść go, gdy nie będzie się tego spodziewał. Użyć pałki, noża, rękojeści rewolweru. Byłe skutecznie.

A więc skąd ta rozterka?

Stąd, że połamanie mu kości mnie nie zadowoli. Chcę złamać także jego ducha. Gdyby taki twardziel jak Big T. przegrał ze słabeuszem – jestem od niego starszy, o wiele szczuplejszej budowy, znacznie przystojniejszy (tak, tak), wręcz chodzący mięczak – to dopiero byłoby dla niego poniżenie.

I tego chcę.

Jest już kilka kroków ode mnie. Podejmuję decyzję i zagradzam mu drogę. Podchodzi i marszczy czoło. Patrzy na mnie przez chwilę. Uśmiecham się do niego. Odwzajemnia mi się tym samym.

– Znam cię – mówi.

– Skąd?

– Byłeś dziś na meczu. Siedziałeś naprzeciwko.

– Przyznaję się do winy.

Wyciąga do mnie swoją wielką łapę.

– Teddy Lyons. Wszyscy mówią na mnie Big T.

Nie reaguję. Patrzę na jego rękę, jak gdyby wyłoniła się z psiego tyłka. Big T. stoi nieruchomo, czekając przez chwilę, a potem zabiera łapę, jakby była małym dzieckiem, które trzeba pocieszyć.

Uśmiecham się ponownie. On odchrząkuje.

– Mogę przeprosić...? – zaczyna.

– Nie, nie możesz.

– Co?

– Nie rozumiesz, prawda, Teddy? – Wzdycham. – Nie, nie możesz przeprosić. Nic cię nie tłumaczy. Jarzysz już?

Powoli znowu ściąga brwi.

– Masz jakiś problem, facet?

– Hm. Co tu odrzec?

– Że jak?

– Mógłbym odpowiedzieć: „Nie, to ty masz problem”. Albo: „Ja? Ależ skąd”... coś w tym rodzaju... ale jakoś nie przemawia do mnie żadna taka cięta riposta.

Big T. wyraźnie nie rozumie. Z jednej strony chciałby po prostu zepchnąć mnie z drogi. A z drugiej – pamięta, że siedziałem w pierwszym rzędzie, a więc mogę być kimś ważnym.

– E.... – mówi. – Idę na imprezę.

– Nie, nie idziesz.

– Jak to?

– Tu nie ma żadnej imprezy.

– Skoro tak twierdzisz, to dlaczego...

– Impreza odbywa się dwie przecznice dalej – wyjaśniam.

Opiera te swoje łapy na biodrach. Postawa trenera.

– Co tu jest grane, do cholery?

– Podali ci zły adres na moją prośbę. Muzyka? To dla zmyłki. Ochroniarz, który wpuścił cię wejściem dla VIP-ów? Pracuje dla mnie i zniknął w chwili, gdy wszedłeś do środka.

Big T. dwa razy mruga. Zbliża się do mnie. Nie cofam się ani o centymetr.

– Co tu jest grane? – powtarza.

– Zamierzam skopać ci tyłek, Teddy.

Uśmiecha się szerzej.

– Ty?

Ma pierś szerokości frontowej ściany do squasha. Podchodzi bliżej. Patrzy na mnie z góry, ze spokojem i pewnością siebie potężnego faceta, z którym nikt nigdy nie chciał zadzierać. To jego stałe zagranie – zastraszyć przeciwnika swoją masą i patrzeć, jak tamten spuszcza z tonu.

Ja oczywiście nie mam takiego zamiaru. Wyciągam szyję i spoglądam mu w oczy. I wreszcie widzę, że ogarniają go wątpliwości.

Nie czekam dłużej.

Podchodząc do mnie tak blisko, popełnił błąd. Tylko ułatwił mi sprawę. Składałem czubki wszystkich pięciu palców prawej dłoni na kształt grota strzały i błyskawicznie uderzam go w szyję. Z jego gardła wydobywa się gulgot. Jednocześnie podnoszę nogę i podbiciem stopy kopię go z boku w prawe kolano, które jak się dowiedziałem, z powodu uszkodzenia więzadła krzyżowego przedniego przeszło dwie operacje chirurgiczne.

Rozlega się trzask.

Big T. pada jak ścięty dąb.

Podnoszę stopę wyżej i wymierzam mu kopniaka piętą.

Krzyczy.

Powtarzam cios.

Znowu krzyczy.

Powtarzam cios jeszcze raz.

Cisza.

Reszty wam oszczędzę.

Dwadzieścia minut później zjawiam się na przyjęciu Swagga Daddy'ego.

Ochroniarz prowadzi mnie na zaplecze. Mają tam wstęp tylko trzy rodzaje gości: piękne kobiety, celebryci i krezusi.

Bawimy się ostro do piątej nad ranem. Potem czarna limuzyna zawozi Swagga i waszego oddanego sługę na lotnisko. Prywatny odrzutowiec, z pełnymi zbiornikami, już czeka.

Swagg przesypia cały lot powrotny do Nowego Jorku. Ja biorę prysznic – tak, w moim samolocie jest prysznic – golę się i przebieram w szary służbowy garnitur w jodełkę od Kitona.

Na lotnisku czekają na nas dwie czarne limuzyny. Przy pożegnaniu Swagg wykonuje skomplikowany ceremoniał – obejmuje mnie i ściska mi rękę. Jedna z limuzyn zabiera go do jego posiadłości w Alpine. Ja jadę drugą do swojego biura w czterdziestosiedmiopiętrowym wieżowcu przy Park Avenue w centrum miasta. Budynek Lock-Horne należy do mojej rodziny, od kiedy został wybudowany, czyli od 1967 roku.

Jadę windą na górę i zatrzymuję się na trzecim piętrze. Kiedyś była tu agencja sportowa, prowadzona przez mojego najlepszego przyjaciela, ale została zamknięta kilka lat temu. Długo nie wynajmowałem tej przestrzeni, bo nadzieja

umiera ostatnia. Liczyłem, że przyjaciel zmieni zdanie i wróci.

Nie wrócił. A życie musi toczyć się dalej.

Nowym najemcą jest firma Fisher and Friedman, która reklamuje się jako kancelaria prawna występująca w obronie pokrzywdzonych. Na swojej stronie internetowej, która ostatecznie mnie przekonała, głoszą:

**Pomożemy ci skopać jaja oblechom, stalkerom,
trollom, zbokom i psychologom.**

Nie mogłem się oprzeć. Podobnie jak w przypadku agencji sportowej, która się tu kiedyś znajdowała, jestem cichym współnikiem tej kancelarii.

Pukam do drzwi.

– Proszę wejść! – mówi zza nich Sadie Fisher.

Zaglądam więc do środka.

– Jesteś zajęta?

– Mamy sezon na socjopatów – odpowiada, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

Nie myli się. Dlatego zainwestowałem w tę firmę pieniądze. Podoba mi się to, że wspiera prześladowanych i krzywdzonych, zwłaszcza że liczba niepewnych siebie i jednocześnie agresywnych facetów (bo to prawie zawsze mężczyźni) stale rośnie.

Sadie wreszcie spogląda w moją stronę.

– Myślałam, że byłeś na meczu w Indianapolis.

– Bo byłem.

– No tak, prywatny odrzutowiec. Czasami zapominam, jaki jesteś nadziany.

– No co ty!

– Naprawdę. O co chodzi?

Sadie nosi okulary w stylu „atrakcyjna bibliotekarka” i przylegający do ciała różowy kostium ze spodniami, który uwydatnia to, co trzeba. Specjalnie wybrała taki styl – wyjaśniła mi. Kiedy zaczęła reprezentować molestowane seksualnie i napadane kobiety, poradzono jej, żeby ubierała się tradycyjnie, nosiła stroje nieeksponujące kształtów, w neutralnych kolorach, „niewinne”, w czym Sadie dostrzegła kolejny przejaw przenoszenia odpowiedzialności na ofiarę.

Jej reakcja? Postępować wręcz odwrotnie.

Nie bardzo wiem, jak przejść do tematu, więc mówię wprost:

– Słyszałem, że jedna z naszych klientek trafiła do szpitala.

W końcu poświęca mi uwagę.

– Nie sądzisz, że należałoby coś jej przesłać? – pytam.

– Co na przykład, Win?

– Kwiaty, czekoladki...

– Jest na oddziale intensywnej opieki medycznej.

– Pluszaka. Balony...

– Balony?

– Żeby wiedziała, że o niej myślimy.

Sadie kieruje wzrok z powrotem na ekran komputera.

– Nasza klientka chce jednego, a tego akurat nie możemy jej dać: sprawiedliwości.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale w końcu daję za wygraną: lepszy jest takt i zrozumienie niż brak wyczucia i brawura. Odwracam się, żeby odejść, a wtedy widzę, że w moją stronę idą dwie osoby.

– Windsor Horne Lockwood? – pyta kobieta.

Od razu wiem, że są z policji, nawet nie muszą pokazywać

odznaki.

Sadie też od razu się orientuje. Odruchowo wstaje i podchodzi do mnie. Mam rzecz jasna cały zastęp prawników, ale korzystam z ich usług tylko w sprawach zawodowych. W sprawach prywatnych zawsze zwracałem się do swojego najlepszego przyjaciela, agenta sportowego i prawnika, który kiedyś zajmował to biuro. Miał moje pełne zaufanie. Teraz, gdy go nie ma, Sadie automatycznie weszła w jego rolę.

– Windsor Horne Lockwood? – powtarza pytanie kobieta.

To ja, tak się nazywam. Gwoli ścisłości, moje pełne imię i nazwisko brzmi: Windsor Horne Lockwood III. Rzeczywiście pochodzę ze starej zamożnej rodziny i ze swoją jasną cerą, siwiejącymi blond włosami, delikatnymi patrycjuszowskimi rysami i dostojną postawą jestem nieodrodnym jej przedstawicielem. Nie kryję się z tym, kim jestem. Zresztą chyba mi się to nie udało.

Czyżbym czegoś nie przewidział, rozprawiając się z Big T.? Jestem dobry. Bardzo dobry. Ale zdarza mi się popełniać błędy.

Co więc przeoczyłem?

Sadie staje przy moim boku. Czekam.

– A kto pyta? – odzywa się Sadie w moim imieniu.

– Agentka specjalna Karen Young z FBI – mówi tamta.

Jest czarnoskóra. Ma na sobie niebieską koszulę i dopasowaną skórzaną kurtkę w koniakowym kolorze. *Très chic* jak na agentkę federalną.

– A to mój partner, agent specjalny Jorge Lopez – przedstawia kolegę.

Lopez wygląda już bardziej swojsko. Jest w szarym jak mokry chodnik garniturze i czerwonym poplamionym

krawacie.

Oboje pokazują swoje odznaki.

– A o co chodzi? – pyta dalej Sadie.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem Lockwoodem.

– Domyślam się – odpowiada Sadie nieco zjadliwie. –

Ale w jakiej sprawie?

Young uśmiecha się i chowa odznakę do kieszeni.

– W sprawie zabójstwa.

Rozdział 2

Znaleźliśmy się w impasie. Young i Lopez chcą, żebym z nimi gdzieś pojechał, ale odmawiają dalszych wyjaśnień. Sadie nie zamierza na to pozwolić. W końcu włączam się i dochodzimy do porozumienia. Pojadę z nimi. Ale bez adwokata nie będę odpowiadał na żadne pytania.

Sadie, która jest bardzo mądra jak na swoje trzydzieści lat, nie podoba się to. Odciąga mnie na bok.

– I tak będą cię przesłuchiwać – ostrzega.

– Jestem tego świadom. Nie pierwszy raz mam do czynienia z policją.

I nie drugi ani nie trzeci... Sadie jednak nie musi o tym wiedzieć. Nie zamierzam grać na zwłokę ani obstawiać się prawnikami z trzech powodów. Po pierwsze, Sadie ma rozprawę w sądzie i nie chcę jej zatrzymywać. Po drugie, jeśli to ma związek z Teddym „Big T.” Lyonsem, z wiadomych przyczyn wołałbym, żeby nie dowiedziała się o tym w taki sposób. Po trzecie, ciekawi mnie, o co chodzi z tym zabójstwem, no i jestem nadmiernie pewny siebie. A niech mnie pozwą.

Wsiadamy do samochodu i wyjeżdżamy ze ścisłego centrum. Prowadzi Lopez, Young siedzi obok niego. Ja

zajmuję miejsce z tyłu. To dziwne, ale są wyraźnie zaniepokojeni. Oboje starają się zachować profesjonalne opanowanie – z powodzeniem – jednak wyczuwam, że coś jest nie tak. To zabójstwo różni się od innych, wykracza poza normę. Próbują to ukryć, ale ich podekscytowanie jest jak feromony i czuć je na kilometr.

Lopez i Young stosują wobec mnie zwykłą w takich przypadkach taktykę milczenia. Mechanizm jest prosty: większość ludzi nie znosi ciszy i robi wszystko, żeby ją przerwać, często mówiąc coś, co można potem wykorzystać przeciwko nim.

To dla mnie niemal obraza, że mają mnie za kogoś takiego.

Nie odzywam się, oczywiście. Sadowię się wygodnie, składam palce w piramidkę i patrzę przez szybę, jak turysta podczas pierwszej wizyty w wielkim niebezpiecznym mieście.

– Wiemy o panu – rzuca wreszcie Young.

Sięgam do kieszeni marynarki i dotykam telefonu. Od tej chwili rozmowa będzie nagrywana. I od razu znajdzie się w chmurze, na wypadek gdyby moi nowi przyjaciele z FBI odkryli, co się dzieje, i postanowili skasować nagranie albo zniszczyć telefon.

Nie dam się zaskoczyć.

Young odwraca się do mnie.

– Powiedziałaś, że wiemy o panu.

Milczę.

– Kilka razy pracował pan dla Biura – dodaje tonem wyjaśnienia.

Jestem zaskoczony, że wiedzą o moich relacjach z Federalnym Biurem Śledczym, jednak tego nie okazuję. Rzeczywiście, współpracowałem z FBI zaraz po ukończeniu

Uniwersytetu Duke'a, ale była to działalność ściśle tajna. To, że ktoś im o tym powiedział – a musiał to być ktoś ważny – stanowi kolejny dowód, że to zabójstwo nie jest zwyczajne.

– Podobno był pan niezły – odzywa się Lopez, patrząc na mnie w lusterku wstecznym.

Szybko przeszli od milczenia do pochlebstw. Ale nie zamierzam się na to nabrać.

Jedziemy Central Park West, przy której mieszkam. Coraz mniej wskazuje, że to zabójstwo ma coś wspólnego z Big T. Wiem, że on żyje, choć pewnie nie czuje się najlepiej. Poza tym, jeśli federalni chcieliby mnie przesłuchać w tej sprawie, wieźliby mnie do swojej siedziby przy Federal Plaza 26, a jesteśmy na rogu Central Park West i Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i jedziemy w przeciwną stronę, w kierunku mojego mieszkania w Dakota Apartments.

Przez chwilę się nad tym zastanawiam. Jestem teraz sam, więc ofiarą nie może być nikt mi bliski. Niewykluczone, że sąd wydał nakaz rewizji w moim mieszkaniu i znaleźli tam na mnie coś, co chcą wykorzystać, ale to też wydaje się mało prawdopodobne. Któryś z odźwiernych w budynku uprzedziłby mnie o próbie takiego przeszukania. Odezwałby się w telefonie jeden z ukrytych alarmów. Zresztą nie jestem aż tak lekkomyślny, żeby trzymać w mieszkaniu coś, co mogłoby mnie obciążać w świetle prawa.

Ku mojemu zdziwieniu Lopez przejeżdża obok Dakoty, nawet nie zwalniając. Czyli jednak opuszczamy centrum. Mijamy sześć przecznic i gdy jesteśmy przy Muzeum Historii Naturalnej, zauważam dwa wozy nowojorskiego wydziału policji. Stoją przed Beresfordem, innym ekskluzywnym przedwojennym apartamentowcem, przy Osiedldziesiątej Pierwszej Ulicy.

Lopez obserwuje mnie w lusterku. Spoglądam na niego i marszczę czoło.

Odźwierni z Beresfordu noszą uniformy wyraźnie inspirowane mundurami radzieckiej generalicji z końca lat siedemdziesiątych. Gdy Lopez hamuje, Young znów odwraca się do mnie.

– Zna pan kogoś z tego budynku? – pyta.

W odpowiedzi tylko się uśmiecham.

Ona kręci na to głową.

– Dobra, wysiadamy.

Prowadzą mnie, on z prawej strony, ona z lewej, przez wyłożony marmurem hol do czekającej już windy, całej w drewnie. Kiedy Young wciska przycisk z numerem ostatniego piętra, uświadamiam sobie, że wchodzimy w wyższe sfery – w przenośni i całkiem dosłownie. Jeden z moich podwładnych, wiceprezes Lock-Horne Securities, ma na trzecim piętrze Beresfordu apartament z częściowym widokiem na park. Zapłacił za niego pięć milionów dolarów.

Young obraca się w moją stronę.

– Domyśla się pan, dokąd jedziemy? – pyta.

– Na górę? – rzucam.

– Ale śmieszne.

Skromnie spuszczam wzrok.

– Na ostatnie piętro – wyjaśnia. – Był pan tam kiedyś?

– Chyba nie.

– Wie pan, kto tam mieszka?

– Chyba nie.

– Sądziłam, że wy, bogaci ludzie, znacie się wszyscy nawzajem.

– Nie należy myśleć stereotypami – odcinam się.

– Ale był pan już w tym budynku, prawda?

Nie odpowiadam, bo brzęka dzwonek i drzwi windy się otwierają. Przypuszczałem, że wejdziemy wprost do jakiegoś wielkiego apartamentu – windy często wjeżdżają bezpośrednio do nich – a tymczasem jesteśmy w ciemnym korytarzu. Na ścianach znajduje się gruba rdzawoczerwona tkanina. Otwarte drzwi po prawej stronie prowadzą do krętych schodów z barierką z kutego żelaza. Lopez rusza przodem. Young daje mi znak, żebym poszedł za nim. Więc idę.

Wszędzie zalegają śmieci.

Po obu stronach schodów piętrzą się stosy starych gazet, czasopism i książek. Idziemy jedno za drugim – dostrzegam wydanie „Timesa” z 1998 roku – a mimo to musimy przeciskać się między tymi piramidami.

Od smrodu nie da się oddychać.

To banał, ale prawdziwy: nic tak nie cuchnie jak rozkładające się ludzkie zwłoki. Young i Lopez zasłaniają nos i usta. Ja nie.

Beresford ma cztery wieżyczki, po jednej na każdym rogu. Dochodzimy do podestu w tej północno-wschodniej. Ktokolwiek tu mieszka (czy raczej mieszkał), na ostatnim piętrze jednego z najbardziej prestiżowych budynków na Manhattanie, niezły z niego zbieracz. Prawie nie można się tu poruszać. Czterech techników w policyjnych kombinezonach z kapturami przedziera się przez ten śmietnik.

Zwłoki zostały już zapakowane do worka. Dziwi mnie, że jeszcze ich stąd nie zabrano, ale wszystko w tej sprawie jest dziwne.

Wciąż nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem.

Young pokazuje mi zdjęcie ofiary, tak przynajmniej się

domyślałam – bo ma ona zamknięte oczy, a jej ciało okrywa podciągnięta pod samą brodę biała płachta. To starszy mężczyzna o szarawej cerze. Zaryzykowałbym twierdzenie, że był po siedemdziesiątce. Na czubku głowy miał łysinę okoloną wianuszkami włosów opadających na uszy. Do tego wielka broda, gęsta, kręcona, brudnoszara, z którą wygląda, jakby w chwili, gdy robiono mu zdjęcie, pożerał owcę.

– Zna go pan? – pyta Young.

Wybieram szczerość.

– Nie. – Oddaję jej zdjęcie. – Kto to taki?

– Ofiara.

– Domyśliłem się, dzięki. Chodzi mi o to, jak się nazywa. Agenci wymieniają spojrzenia.

– Nie wiemy.

– A pytaliście właściciela mieszkania?

– Sądzimy, że to właśnie on – odpowiada Young.

Czekam na dalszy ciąg.

– To mieszkanie zostało kupione prawie trzydzieści lat temu przez pewną spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, za pośrednictwem podstawionej firmy, kompletnie nie do wytropienia.

Nie do wytropienia. Znam to aż za dobrze. Sam często używam takich sztuczek, nawet nie po to, żeby uniknąć płacenia podatków, choć to dodatkowa korzyść. Jeśli chodzi o mnie – jak zapewne było i w przypadku naszego nieżyjącego zdziwaczałego zbieracza – celem jest raczej zachowanie anonimowości.

– A więc go nie zidentyfikowaliście? – podsumowuję.

– Jeszcze nie.

– A pracownicy budynku...?

– Mieszkał sam. Przesyłki zostawiano u podnóża

schodów. Na górnych korytarzach tego budynku nie ma monitoringu, a jeżeli jest, nie chcą się do tego przyznać. Spółka wносиła wszystkie opłaty na czas. Odzwierny mówi, że Pustelnik... tak go nazywali... był prawdziwym odludkiem. Rzadko opuszczał mieszkanie, a jeśli już, to zasłaniał twarz szalikiem i wychodził dyskretnym podziemnym wyjściem. Zarządca znalazł go dziś rano. Smród zaczął przenikać na niższe piętra.

– I nikt w budynku nie zna tożsamości tego człowieka?

– Wszystko na to wskazuje – mówi Young. – Ale wciąż chodzimy od drzwi do drzwi i pytamy.

– Czyli następne pytanie jest oczywiste.

– To znaczy?

– Dlaczego tu jestem?

– Sypialnia.

Wygląda na to, że Young spodziewa się z mojej strony odpowiedzi. Daremnie.

– Proszę z nami.

Kiedy skręcamy w prawo, widzę przez okno wielką kopułę stojącego po drugiej stronie ulicy Muzeum Historii Naturalnej. W kopule mieści się planetarium, a na lewo Central Park w całej swojej okazałości. Z mojego apartamentu także roztacza się widok godny pozazdroszczenia, chociaż Dakota ma tylko osiem pięter, a my w tej chwili znajdujemy się powyżej dziewiętnastego.

Niełatwo mnie zaskoczyć, ale kiedy wkraczam do sypialni zbieracza – i widzę, dlaczego mnie tu przywieźli – zatrzymuję się w pół kroku. Stoję nieruchomo. I patrzę. Cofam się w przeszłość, jakby obraz przed moimi oczami był portalem czasu. Mam osiem lat i wkradam się do saloniku dziadka w Lockwood Manor. Reszta mojej licznej rodziny przebywa w

ogrodzie. Jestem w czarnym garniturku i wstępuję sam na ozdobny parkiet. Z perspektywy czasu wiem, że choć jeszcze nie nastąpił rozpad rodziny, to właśnie się zaczął. Tego dnia pochowaliśmy dziadka. W saloniku, jego ulubionym pokoju, unosi się słodki zapach jakiegoś środka do dezynfekcji, ale wciąż dominuje cudowny aromat dziadkowej fajki. Wdycham go z lubością. Niepewnie wyciągam rękę i dotykam skórzanego obicia jego ulubionego fotela typu uszak, prawie jakbym liczył, że on sam pojawi się na nim jakimś cudem, w zapinanym swetrze i kapciach, z fajką w dłoni i tak dalej. W końcu odważnie wdrapuję się na fotel. A gdy już na nim siedzę, spoglądam na ścianę nad kominkiem, tak jak dziadek miał w zwyczaju.

Jestem świadom, że Young i Lopez patrzą na mnie uważnie, obserwując moją reakcję.

– Początkowo – odzywa się Young – myśleliśmy, że to kopia.

Patrzę dalej, jak wtedy, gdy miałem osiem lat i siedziałem w tamtym skórzanym fotelu.

– No więc ściągnęliśmy historyczkę sztuki z Met po drugiej stronie parku – ciągnie Young. „Met” to skrót od Metropolitan Museum of Art. – Chce zabrać ten obraz i poddać go badaniom, na wszelki wypadek, ale nie ma wątpliwości... to oryginał.

Sypialnia zbieracza, w przeciwieństwie do pozostałych pomieszczeń, jest urządzona skromnie, wręcz po spartańsku, panuje w niej porządek i czystość. Łóżko pod ścianą jest zaścielone. Nie ma zagłówek. Na stoliku obok leżą tylko okulary do czytania i książka w skórzaney oprawie. Już rozumiem, dlaczego mnie tu sprowadzono – żebym zobaczył tę jedną rzecz, która wisi na ścianie.

To obraz olejny znany jako *Dziewczyna siedząca przy klawesynie* Johanna Vermeera.

Owszem, tego Vermeera. Zgadza się, ten obraz.

To arcydzieło, podobnie jak większość z zaledwie trzydziestu czterech dzieł Vermeera, jest małych rozmiarów, ma pięćdziesiąt dwa na czterdzieści sześć centymetrów, ale robi wielkie wrażenie swoją prostotą i pięknem. Kupione przez mojego pradziadka niemal sto lat temu, wisiało w saloniku w Lockwood Manor. Przed dwudziestoma laty moja rodzina wypożyczyła ten obraz, wart według dzisiejszego przelicznika ponad dwieście milionów dolarów, razem z *Czytającą* Picassa, Lockwood Gallery w budynku Founders Hall na terenie Haverford College. Być może czytaliście o tamtym nocnym włamaniu. Od tego czasu do mediów stale przedostają się informacje o pojawieniu się tych dzieł – Vermeera ostatnio widziano na jachcie należącym do jakiegoś księcia z Bliskiego Wschodu. Jednak te wszystkie doniesienia – a kilka z nich sprawdziłem osobiście – okazały się nieprawdziwe. Niektórzy twierdzili, że ta kradzież była robotą tej samej grupy przestępczej, która zrabowała piętnaście dzieł sztuki, między innymi Rembrandta, Maneta, Degasa i tak, Vermeera, z Isabella Stewart Gardner Museum w Bostonie.

Nie odnaleziono żadnego ze skradzionych i tu, i tam obrazów.

Aż do tej pory.

– Ma pan coś do powiedzenia? – odzywa się Young.

Powiesiłem w saloniku dziadka dwie puste ramy, na pamiątkę tamtych zabranych dzieł i jako symboliczną obietnicę, że kiedyś wrócą na swoje miejsce.

Wygląda na to, że obietnica zostanie spełniona,

przynajmniej w połowie.

– A co z Picassem? – pytam.

– Nie ma po nim śladu – odpowiada Young. – Ale jak pan widzi, musimy przeszukać jeszcze dużą część mieszkania.

Picasso jest znacznie większy, ma wymiary sto pięćdziesiąt na sto dwadzieścia centymetrów. Gdyby tu był, już by go odnaleziono.

– Jeszcze coś? – ponagla mnie Young.

Wskazuję na ścianę.

– Kiedy będę mógł zabrać go do domu?

– Nieprędko. Wie pan, jakie są procedury.

– Znam wybitnego historyka sztuki, który jest jednocześnie renowatorem. Nazywa się Pierre-Emmanuel Claux. Chciałbym, żeby to on zajął się tym obrazem.

– Mamy swoich ludzi.

– Nie, agentko specjalna, nie macie. Jak sama pani przyznała, rano ściągnęliście tu z Met przypadkową osobę...

– Nie przypadkową...

– To nie jest jakieś wygórowane żądanie – ciągnę. – Znam się na dziełach sztuki jak mało kto na świecie, wiem, jak się z nimi postępuje, jak sprawdza ich autentyczność, a w razie potrzeby odrestaurowuje.

– Weźmiemy to pod uwagę – rzuca Young, żeby już zmienić temat. – Ma pan jeszcze jakieś spostrzeżenia?

– Ofiara została uduszona czy podcięto jej gardło?

Znowu wymieniają spojrzenie. Potem Lopez odchrząkuje i pyta:

– Jak pan to...?

– Płachta zakrywała całą szyję – wyjaśniam. – Na zdjęciu, które mi pokazaliście. Uznałem, że chodziło o zasłonięcie przykrego widoku.

- Nie wdawajmy się w to, dobrze? – mówi Young.
- A znacie godzinę śmierci? – pytam dalej.
- To też na razie zostawmy.

Mówiąc krótko: jestem podejrzany.

Nie bardzo rozumiem dlaczego. Przecież gdyby to była moja robota, zabrałbym obraz. A może nie. Może byłbym na tyle przebiegły, żeby zamordować faceta i zostawić malowidło – i tak by je znaleziono, a następnie oddano mojej rodzinie.

– Przychodzi panu do głowy jeszcze coś, co mogłoby pomóc? – pyta Young.

Nie wyjeżdżam z oczywistą wersją: Pustelnik był złodziejem dzieł sztuki. Upłynnił większość z tego, co pokradł, a dzięki uzyskanym pieniądząom zmienił tożsamość, zarejestrował anonimową spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, nabył to mieszkanie. I z jakiegoś powodu – najpewniej dlatego, że go sobie upodobał albo zbyt trudno było go opchnąć – zachował Vermeera dla siebie.

– A zatem – podejmuje Young – nigdy wcześniej pan tu nie był, tak?

Pyta zbyt niedbałym tonem.

– Panie Lockwood?

Ciekawe. Najwyraźniej mają jakiś dowód, że byłem wcześniej w tej wieży. A nie byłem. Wynika z tego, że wbrew zwyczajom sprowadzili mnie na miejsce zbrodni, chcąc wykorzystać moje zaskoczenie. Gdyby przestrzegali procedur obowiązujących podczas dochodzeń w sprawie zabójstw i zabrali mnie do sali przesłuchań, miałbym się na baczności i uważałbym, co mówię. I być może ściągnąłbym adwokata.

Co oni takiego na mnie mieli?

– W imieniu rodziny dziękuję za odnalezienie Vermeera. Mam nadzieję, że Picassa też wkrótce odzyskamy. Chętnie wróciłbym już do biura.

Agentom się to nie podoba. Young spogląda na Lopeza i kiwa głową, a wtedy on wychodzi z pokoju.

– Za chwilę – zwraca się do mnie Young. Sięga do teczki i wyjmuję jeszcze jedno zdjęcie. Pokazuje mi je i znowu jestem zbity z tropu. – Rozpoznaje pan to, panie Lockwood?

– Proszę mi mówić po imieniu. Win – proponuję, żeby zyskać na czasie.

– Rozpoznaje pan to, Win?

– Wie pani, że tak.

– To herb pańskiej rodziny, mam rację?

– Tak, owszem.

– Dokładne przeszukanie mieszkania ofiary zajmie nam trochę czasu... – ciągnie Young.

– Już to pani mówiła.

– Ale tu, w tej szafie, znaleźliśmy jedną rzecz... – Agentka się uśmiecha. Ma całkiem miły uśmiech. – Tylko jedną.

Czekam.

Wraca Lopez. Za nim podąża jeden z policyjnych techników, niosąc aktówkę z krokodylęj skóry z błyszczącymi metalowymi okuciami. Znam ją, ale nie wierzę własnym oczom. To nie ma sensu.

– Rozpoznaje pan tę aktówkę? – pyta Young.

– A powinienem?

Oczywiście, że tak. Wiele lat temu ciotka Plum zamówiła takie dla wszystkich męskich przedstawicieli rodu. Na każdej kazała umieścić nasz herb i inicjały właściciela.

Kiedy wręczała mi moją – miałem wtedy czternaście lat – bardzo starałem się nie skrzywić. Lubię rzeczy drogie i luksusowe. Nie lubię przepłaconych i wulgarnych.

– Na tej teczce są pańskie inicjały.

Technik tak odwraca aktówkę, żebym mógł zobaczyć ostentacyjny barokowy monogram:

WHL3

– To pan, zgadza się? WHL trzy. Windsor Horne Lockwood Trzeci?

Stoję nieruchomo, nic nie mówię, niczego nie daję po sobie poznać. Ale – żeby nadmiernie nie dramatyzować – ten widok sprawia, że świat wokół zatrzymuje się w połowie obrotu.

– A więc, panie Lockwood, może pan nam powie, skąd wzięła się tu pańska teczka?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).